

Powiało Paryżem! • Nowe oblicze Juliette Greco • Francuskie odznaczenie na właściwej piersi! • Filmy Truffaut'a i innych • Wielka rola Montanda • Co wystawił (i gdzie) Eryk Lipiński? • Jestem Dulski!

W Warszawie powiało Paryżem. Z okazji Dni Kultury Francuskiej mieliśmy parę wystaw, parę odczytów, parę koncertów, jeden teatr dla dzieci i — dwie imprezy, które rozrzucały nieco stołecznych bywalców: występ Juliette Greco oraz Przegląd filmów francuskich. Czyli to, co lubimy najbardziej i z czego Francja u nas słynie: piosenka i kino.

Na występ Greco bilety rozchwymano momentalnie, chociaż ceny były raczej ekskluzywne, wahając się między 100 a 120 zł. Sala Kongresowa napelniła się po brzegi, a może nawet bardziej i — strach pomyśleć, że te trzy i pół tysiąca ludzi musiałoby się rozejść do domów bez żadnych wrażeń, gdyby nie uprzejmość naszej lotniskowej kontroli paszportowej. Juliette i jej ekipa zapomnieli bowiem, że Francuzom przybywającym do Polski potrzebny jest — jak i nam we Francji — taki drobiazgi, jak wizy... Na szczęście, na lotnisku nastąpiły z kolei Dni Kultury Polskiej: formalności wizowe maksymalnie uproszczono i incydent zakończył się szybko i pomyślnie, ku ogólnemu zadowoleniu.

Greco ma 46 lat i w najbliższych miesiącach zostanie już babcią. Wygląda nadal intrygująco i pięknie, ale — pomyślała zapewne, iż nadchodzi wiek, w jakim piosenkarka (nawet francuska), w mniejszym stopniu powinna opierać swój repertuar na frywolnościach, na lózkowych figlach, a zająć się sprawami nieco ważniejszymi...

Z jej nowych piosenek już bodaj jedna tylko powraca do ulubionego niedgdy przez Greco tematu panienek za franki (*La Lelluia*), jedna mówi o miłości ciepło i urokliwie (*L'Embellie*; *Co dzieje się z ciałem kobiety w chwili uprawiania miłości? Kobieta, nawet najbrzydsza, w tym momencie pięknieje, staje się najpiękniejszą ze wszystkich kwiatów ziemi...*); inne — za temat biorą śmierć (*J'arrive*), obłąkanie (*La Folle*), a przede wszystkim — protestują przeciw tyranii (*La Nouvelle Grece*) i wojnie (*A la guerre comme a la guerre; Mon fils chante*).

To — nowe oblicze Juliette Greco. Jej nowe zainteresowania, wynikiem częściowo z współpracy z kompozytorem i pianistą Gerardem Jouannestem (dawniej, do chwili jego wycofania się z estrady, kompozytorem i akompaniatorem Brela), a częściowo z wpływu męża Greco, znanego aktora Michela Piccoli, aktywnego działacza francuskiej lewicy... Nie jestem jednak pewien, czy szlachetne i piękne in-

tencje znajdują tutaj właściwe ujęcie; wydaje się, że styl Greco, mimo wszystko lepiej przylega do tajemnic alkwowy, niż do rozpraw o nieprawości świata. I na warszawskim koncercie największe brawa zbierały jej dawne utwory, znane od lat, lecz zawsze chętnie słuchane.

Greco przypomniała swój pierwszy wielki sukces: *Si tu t'imagines* (*Korzystając z życia, dziewczęta, bo przecież czas ucieka. Ziemia kręci się wokół słońca, a wam tymczasem tworzą się zmarszczki, rosną trzy podbródki, gromadzą się jady duszeczki, flaczęją muskuły. Zrywajcie różę życia póki czas, bo jeśli wyobrażacie sobie, że zawsze będziecie młode i piękne, to bardzo się mylicie...*).

Entuzjasmowano się tą dawną Greco; tą nieporównalną kulturą i subtelnością z jaką przekazuje zwroty obyczajowe odważne i opisy drażliwe, entuzjasmowano się baletem jej rąk — odnajdującym dla każdej z piosenek najtrafniejszy gest... Nowa Greco nie umiała w tym samym stopniu przykuć naszej uwagi, ale — może to kwestia czasu? Może to jednak ona ma rację, przechodząc stopniowo na inne pozycje?

W dniu, w którym Greco śpiewała w Warszawie, w Paryżu przebywał człowiek, który jako pierwszy — przed 11 laty — sprowadził ją do Polski: dyrektor pagartowskiego Biura Estrady, **Władysław Jakubowski**. Pojechał tam po odbiór Krzyża Oficerskiego Orderu „de l'Education Artistique“, przyznanego po raz pierwszy Polakowi za zasługi dla rozwoju stosunków kulturalnych między Francją a Polską.

Order trafił, jak sądzię, na właściwą pierś! Dyrektor Jakubowski, gorący propagator kultury francuskiej na swoim terenie działania, w ciągu ostatnich dwunastu lat, zapoznał nas niemal z każdym, kto znaczy cokolwiek we francuskiej piosence. Z jego inicjatywy — i poprzez jego osobiste kontakty impresaryjne — sprowadził Pagart do nas Aznavoura, Gilberta Bécauda, Jacquesa Brela, Lucienne Boyer, Dalidę, Mireille Mathieu, Patachou, Colette Renard, Catherine Sauvage, Barbare, Braci Jacques itd. itd., nie mówiąc już o Marlenie Dietrich, która też dotarła do nas poprzez Francję.

Dyrektor Jakubowski uparcie także forsuje eksport polskiej estrady do Francji. On wyekspediował kiedyś do paryskiej Olympii „Wielki music-hall warszawski“ i Ewę Demarczyk, on wprowadził na francuski rynek duet Kisielewski-Tomaszewski, on kilku naszym piosenkarzom ułatwił kontakt z „Małym konserwatorium piosenki“ pani Mireille...

Teraz — po kilkunastu latach działania — otrzymał francuskie odznaczenie, w towarzystwie m. in.

znanego komediopisarza francuskiego, Marcela Acharda (*Idiotka, Kartofel*), najwybitniejszej piosenkarki greckiej, Nany Mouskouri, węgierskiego pianisty światowej sławy, György Cziffry, a także paru dyrektorów wielkich agencji impresaryjnych i ośrodków TV z całego świata. Było to jakby dobrym uzupełnieniem licznych imprez francuskich w tym czasie w Warszawie...

Najbardziej masową spośród nich, był naturalnie **Przegląd filmów francuskich**. Dzięki sporej ilości seansów w dwu kinach, duży procent warszawskich kinomanów mógł w owym Przeglądzie uczestniczyć; czy jednak z pełnym usatysfakcjonowaniem?

Poniekąd, ale — niezupełnie. Francuzi nie pokazali bowiem w Warszawie ani jednego ze swych głośnych w świecie dzieł, nagradzanych, dyskutowanych i oglądanych z zapalem. Przedstawili w zamian kilka filmów dobrej klasy, bardzo zgrabnie zrealizowanych, jakie pojawiają się nieustannie w kinach Paryża i schodzą z ekranów po kilkudziesięciu dniach, dostarczając ludziom niewątpliwiej przyjemności, lecz nie pozostając w pamięci zbyt długo. A przecież — aby zrozumieć paradoks tej sytuacji, trzeba dodać, że trzy z siedmiu filmów Przeglądu, zrealizował François Truffaut, uznawany do dziś za wielką gwiazdę francuskiej reżyserii.

Gwiazda gwiazdą, ponieważ jednak w przeddzień Przeglądu szedł w naszej TV pierwszy film Truffaut'a, sławne *400 batów*, mogliśmy natychmiast porównać, jak bardzo odbiegł dziś współtwórca „nowej fali“ francuskiego kina, od swych niedgdyjszych, bezkompromisowych założeń. Z jego trzech nowych filmów, jeden — *Amerykańska noc* — jest filmem o realizowaniu filmu, o życiu prywatnym ekipy aktorsko-technicznej i o tym, jak to życie modelowane jest pracą na planie. Reżysera, wyidealizowanego do granic przyzwoitości, gra tutaj sam Truffaut, jego gwiazdą — zupełnie niesłychanie piękna, Jacqueline Bisset. I oczywiście Jean Pierre Léaud, z którym Truffaut od czasu *400 batów* rozstaje się rzadko.

Léaud jest zatem również bohaterem drugiego filmu Truffaut'a: *Dwie Angielki i kontynent*. On właśnie jest owym „Kontynentem“, czyli paryżaninem, zaplątanym w afery miłosne z dwiema siostrami z Wysp Brytyjskich. Nie o miłość idzie tutaj zresztą, lecz raczej o podkreślenie różnic w mentalności Anglików i Francuzów, o zdemaskowanie kompleksów jakie jedni i drudzy, do dziś jeszcze mają na swój temat.

Trzeci film Truffaut'a — *Taka piękna dziewczyna*, to bezpretensjonalna komedia o męskiej naiwności, beztroško wykorzystywanej przez kryminalistkę z seksem, Bernadette Lafont. Zabawniejsza od tego jest groteska kryminalna Yvona Roberta *Tajemniczy blondyn w czarnym bucie* (nowy komik francuskiego kina, Pierre Richard, nie daje się „wykończyć“ ani Bernardowi Blier, ani nawet ślicznej Mireille Darc).

Ponadto, obejrzelśmy kolejną opo-

wiastkę umoralniającą Erica Rohmera, *Miłość po południu*, debiut reżyserski Anny Kariny *Zyc razem i wreszcie* — niewątpliwie najlepszą pozycję całego Przeglądu: *Cesara i Rosalie* Claude Sauteta. Historyjka nie najciekawsza, lecz nabierająca wspaniałych barw dzięki troju aktorom: Romy Schneider, Yves Montandowi i Sami Freyowi. Zwłaszcza Montand stwarza tutaj wybitną kreację. Podobno film jest już zakupiony na nasze ekrany.

A na razie, póki co, warszawiacy oglądają w pięknym, obszernym i świetnie prowadzonym klubie MPiK-u na Woli, Wystawę plakatów i rysunków **Eryka Lipińskiego**... Przedstawić autora prac byłoby nietaktem; Lipińskiego znają wszyscy. Jedni z lamów Przekroju (choćby z drukowanej aktualnie „Historii świata“), inni — jako współzaloźcy i niezmiennie człolowego rysownika i karykaturzystę „Szpilek“, inni jako cotygodniowego felietonistę „Kuriiera Polskiego“, jeszcze inni jako scenografa i autora kabaretu „Dudek“, jeszcze inni (bardziej zorientowani) — jako laureata — 25 nagród i wyróżnień artystycznych, a także 10 orderów, medali i odznaczeń...

Wernisaż w klubie MPiK-u stał się wydarzeniem artystyczno-towarzystwem stolicy, co zresztą zrozumiałe, zważywszy, iż Lipiński chociaż miał już własne wystawy w różnych stolicach — od Londynu po Pragę, po raz pierwszy zebrał i pokazał swe prace w Warszawie. Ponad 200 — w tym 60 plakatów; wrażenie piorunujące!

Podobne wrażenie, tyle, iż w sensie niejako odwrotnym, wywarła na mnie niedawna **premiera „Moralności pani Dulskiej“** w sali kameralnej Teatru Polskiego. Premierę zresztą zapowiadano od dawna jako sensację, jako iż Dulską gra sama Nina Andrycz, a realizatorzy: reżyser Krystyna Meissner i scenograf Krzysztof Pankiewicz, głosili na prawo i lewo, że tworzą spektakl absolutnie nowatorski i twórczy.

No i stało się! W programie wyjaśniono, że idea spektaklu jest wiecznortulność duszyczyny, przekonanie — słuszne niewątpliwie — że duszyczyna istnieje do dziś, chociaż przybrała inne formy niż w czasach Zapolskiej. Na wszelki wypadek, zasugerowano, iż jeśli komuś spektakl tak odczytany nie będzie się podobał, to świadczy o tym, że sam jest Dulskim. Lub Dulską... Tym zapewne należy tłumaczyć zastanawiający fakt, że wprawdzie na premierze braw było ledwo ledwo i wychodząc wszyscy kłęk pod nose, natomiast recenzje potem pisali entuzjastycznie; nikt nie chciał się ujawnić ze swoją duszyczyną.

W tej sytuacji, wszystko biorąc na siebie. Jestem Dulski, ponieważ spektakl w Kameralnym uważam za nudną, wielokokki, który przeczą sam sobie, nie wiadomo dlaczego z Zapolskiej stara się robić uduziwnione Witkacego, tyle że w mini-spódniczkach; z Hanki — wbrew intencjom autorki i zdrowemu rozsądkowi — tworzy nową Dulską; miłośne Hanki do Zbyszka przenosi ze Lwowa na teren francuski; Dulską i Juliasiewiczową, nie bacząc na dostojność obu aktorek, rozbiera niczym do rosołu... Jedynie pan Dulski właściwie osadza to co się dzieje na scenie, wypowiedziadając swe słynne, najtrafniej tutaj brzmiące zdanie: „A niech was wszystkie diabli!“

LUCJAN KYDRYŃSKI